

**MARIA  
KUNCEWICZOWA  
CUDZOZIEMKA**

Postłowiem opatrzyła Danuta Sękalska

**MARGINESY  
KLASYCZNIE**

COPYRIGHT © Muzeum Nadwiślańskie w Kazimierzu Dolnym  
COPYRIGHT FOR THE AFTERWORD © BY Danuta Sękalska  
COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2023

*...ich sah dich ja im Traum  
und sah die Nacht in deines Herzens Raum,  
und sah die Schlang', die dir am Herzen frisst,  
ich sah, mein lieb, wie sehr du elend bist.*

Heine

Róża zadzwoniła do drzwi w sposób kategoryczny i jednak nerwowo: niechże otwierają natychmiast, chyba wiedzą, że ona tu stoi z ważnymi sprawami. Sabina szybko przytoczyła, tym razem z kuchni do przedpokoju, swoje wielkie tłuste ciało.

– Dzień dobry starszej pani – powiedziała służbiście.

Zdejmowała z Róży futro, odbierała mufkę, kapelusz, czekała na rozkazy, mruczała coś i potrząsała to jednym, to drugim ramieniem – widać było, że respekt, że nerwowo strach nie mogą zagłuszyć w niej starych uraz, a także chronicznej potrzeby protestu przeciwko charakterowi przybyłej.

Róża rozbierała się powoli, traktując Sabinę jak wieszak albo krzesło. Wreszcie, poprawiwszy włosy, obrzuciła błyskawicznym spojrzeniem odbicie swojej twarzy w lustrze i podążyła w stronę pokoju. Na progu już niemal spytała o córkę:

– Gdzie pani? W łazience?

Sabina odparła:

– Widać pani zapomniała, że pani starsza miała przyjść. Wyszła, nic nie mówiła.

Róża nie drgnęła pod ciosem, przeciwnie: zrobiła coś takiego, że jej policzki i oczy wydały się nagle jaśniejsze, nowsze – radosne. Zanuciła melodyjkę, zajęła się rozkładaniem paczek na toalecie córki. Sabina ciągle jeszcze stała koło przedpokojowych szaragów.

– Ano, pogoda ładna, to pani pobiegła se gdzieś z samego rana z panią Mirą w Aleje czy do jakiej tam Europy. Jak to młode panie.

Róża nie wychyliła się w pole widzenia; z żółtego pokoju doleciał tylko ten sam co przedtem wysoki, klarowny głos:

– Proszę wracać do kuchni. Jak zadzwonię, to Sabina poda mi herbaty. A na telefon będę uważała, pani tu będzie do mnie telefonowała, zapomniałam, że miała dzisiaj iść do szkoły Zbyszka rozmawiać z wychowawcą.

Podłoga w jadalni zadudniła, drzwi od korytarza trzasnęły, po całym mieszkaniu poszedł łomot, gdzieś pomiędzy łazienką a spiżarnią z tumultu siły i wściekłości wydarła się piosenka drżąca, ostra, cieniutka: „Alleluja, niech pan nie buja...”. Za drzwiami kuchni ta piosenka przepadła.

Teraz Róża usiadła i pozwoliła swojej twarzy zmierzchnąć. Usta zwycięskie wsiąkły w głąb twarzy, pozostawiając za ledwie ślad, szramę na powierzchni skóry, szerokie źrenice zwęziły się jak u bitego psa, nos stał się spiczasty, a czoło brudne, zmięte. Forsownie przełknęła ślinę – widać gorzką – bo kąty warg zadrgały. Położyła dłonie na poręczach fotela i tak zastygła.

Niedługo wszakże trwał bezruch. W Róży niebawem zbudziło się coś naglącego, boleśnie żywego, napastliwego, z czym nie można zaznawać spokoju. Z pociemniałą twarzą wstała i wróciła znowu do wejściowych drzwi. Teraz – w zupełnej samotności – po raz drugi wkraczała do mieszkania córki. Już nie tym elastycznym, urągłym krokiem, już nie z tą obojętną postawą co przy słudze. Teraz wkraczała ciężko, srogą, cierpiętliwie, jak obrażona matka, jak stara, niepo-

trzebna kobieta. Stuknęła zgiętym palcem w blat mahoniowego stolika.

– O, gdzie to Marta wypchnęła pradziadowski stolik! W sieni ponieważ, co przez tyle lat szanowałam, z miejsca na miejsce poprzez całą Rosję woziałam.

Schyliła się i troskliwie obmacała wygiętą empirową nóżkę. Jakiś czas stolik stał w dzieciennym pokoju – wnuczek Zbigniew przywiązywał do tej nogi konia na biegunach i nadlał ją. Próżno zabraniała. Córka śmiała się: „Dla niego to jest kareta, dziecko musi się bawić”.

Róża, złowroga, sunęła w głąb mieszkania. Przystawała przy nowoczesnych, niedawno nabytych sprzętach, mruzczała zjadliwie nad niskim dressoirem i nad wileńską tkaniną. W stołowym, między zegarem a lustrem, wisiał portrecik jej ojca – niewielki dagerotyp w medalionowej ramce z epoki. Porywczo zerwała obrazek ze ściany i poniosła do tego miejsca, gdzie leżały jej rzeczy: mufka, kołnierz futrzany... Tam go ukryła.

Telefon nie dzwonił, w domu była cisza, tylko ulica w dole huczała i radio z piątego piętra grało *Close your eyes*<sup>1</sup>. W angielskim, niezrozumiałym języku, słowa brzmiały irracjonalnie, zwierzęco, jak modlitwa dzikiego człowieka. Zmysłowa obsesja i strach przed nocą były w tych słowach. Coś się przypominało wstydlivego, czegoś trzeba było się spodziewać i po czymś płakać, kiedy tak śpiewano. Róża zwiesiła głowę, opuściła ręce, melodia płynęła nad sufitem i nad światem, a w sercu Róży poruszała się przeklęta młodość. Ciągłe żywa, ciągle gryząca, jak złe, nierozumne szczenię.

<sup>1</sup> *Close...* – (ang.) Zamknij oczy.

Róża podeszła do lustra, obciągnęła na sobie sweter w pąsowe i srebrne skrzydła. Kupiła go niedawno, jednocześnie niemal z krótką modną parasolką o rączce w formie ptasiego dzioba, jednocześnie z paryskim gorsetem i za jasnym na zimę paltem.

Sweter kupować poszły z córką Martą. Kiedy na ladę wyłożono całą serię trykotaży – córka natychmiast odgarnęła jaskrawe sztuki i spośród dyskretnie barwionych wyłowiła najciemniejszy. Ten podsunęła matce, mówiąc:

– Może mamusia przymierzy.

Róża przymierzyła. Sweter był piękny, czarny, jak gdyby przyprószony szronem, z przepyszny białym kołnierzem i takimiż mankietami. Zapinał się surowo na jeden rząd guzików. Marta stała olśniona przed matką.

– Cudnie, cudnie ci w tym swetrze – powiedziała. – Wyglądasz jak sen o zimie albo jak Petronela w swojej najlepszej formie: po jedzeniu, kiedy jest uduchowiona.

Petronela to była stara kotka angora.

Róża poczuła wtedy coś gorszego niż śmierć. Poczowała starość swoją, już dokonaną, już nieodwołalnie zapadłą i widoczną każdemu. Śmierć czuła nieraz – nie zbywało temu uczuciu na powabie. Kiedy przy ataku nerwicy czy w samobójczym zapamiętaniu drętwiały wargi, ciężki paralityczny chłód podnosił się falą od stóp poprzez uda ku sercu, doznawała obok fizycznej męczarni, obok wstrętu do własnej bezsily – także pewnej obleśnej rozkoszy. Że zapada tak głęboko w nieodpowiedzialność, że mści się i że bezkarnie triumfuje nad przymusami życia; że przybliży się tuż-tuż i zaraz osiągnie – tajemnicę. Bezład ogarniał ją jak nowy wymiar, jak atmosfera i n n e g o zwyczajstwa. Ze śmiercią, gdy

ta ustępowała z jej ciała, rozstawała się z zalem; to był rzadki, gorzki narkotyk, przedsmak nieznanego świata, pełnego słodyczy. Natomiast starość odczuła teraz jak prze-wlekłą jawę, która podpełza do człowieka, żeby go obedrzeć z ostatniej nadziei, naznaczyć piętnem ohydy, gwałtem się z nim stowarzyszyć, włóczyć go – śmieszna, zniekształconą marę – po najparszywszych zaułkach człowieczeństwa. Sen o zimie. Petronela w najlepszej formie – powiedziała córka. Jakże urągliwie zabrzmiały komplementy! Róża ze wzgardą odwróciła się od ich melancholijnej poezji, z nienawiścią przyjęła wersję o swoim duchowym, bezcielesnym pięknie.

– On ma za długie rękawy – odburknęła wrogo.

Sprzedawczyni i Marta zakrzętały się.

– Ależ to drobiazg, tu pod mankietem zrobi się małą zakładkę, poza tym sweter leży jak ulany.

Róża ściągnęła z siebie elastyczną wełnę... Córce lży sta-nęły w oczach.

– Ależ dlaczego? Mamo, ja proszę, tobie jest w nim ślicznie, pewnie myślisz, że jest za drogi, błagam cię – (siłą przytrzymała żakiet na ramionach matki) – ofiaruję ci go, no – proszę, proszę – to będzie prezent ode mnie.

Róża bardzo źle spojrzała na córkę; Marta umilkła rap-tem, zatrzepotała rzęsami i tak już pozostała do końca by-tności w sklepie – ogłuszona.

To i owo jeszcze przymierzała Róża, cały czas jednak zerkając na obcisły żakiecik w purpurowe skrzydła. Wresz-cie otrząsnęła się z propozycji subiektki i sięgnęła po niego. Sprzedawczyni z pewną urazą pomogła włożyć za ciasny trykot, córka odwróciła oczy... Ton monologu sklepowej opadł i schłódł. Bardzo chwaliła żakiecik w czerwone skrzydła:



– I w tym także szanownej pani do twarzy. Bo przy siwych włosach ta czerwień pięknie kontrastuje i pani szanowna ma piękną cerę.

Marta ciągle milczała, Różę nie chłód śmierci ogarniał, nie; ciepły, mdły zapach spraw urojonych, beznadziejnych i żmudnych. Stała ponura przed lustrem, nie ogłaszając decyzji.

Sklepową także na chwileczkę zacichła, zaraz jednak wzmogła się na duchu i z zapalem dodała:

– Za ten sweter ja gwarantuję, dziesięć sezonów noszenia.

I tu dopiero Róża roześmiała się gromko. Powiedziała:

– Ha, moja pani, dziesięć sezonów to za wiele dla mnie, może jeden wystarczy? No, niech pani zapakuje ten zakiet.

Wyszły ze sklepu z Martą i rozstały się zimno; to było miesiąc temu. Róża zaraz następnego dnia po nabyciu swetra kupiła świetny pas gumowy, który ją wyszczuplił, a na wyprzedazy jesiennej kupiła jasne palto z bardzo cienką warstwą watoliny i parasolkę z dziobem.

W ciągu życia Róża niezbyt wiele czasu spędzała przed lustrem. Za lat dzieciństwa nie odczuwała siebie jako odrębnej od świata istoty, drżała, mieniła się na różnych przeciągach – nic o swoim kształcie, o właściwym swoim kolorze nie wiedząc. Kiedy świeciło słońce, kiedy w taganroskim parku grzmiała muzyka, kiedy siostra mamy, wesola Jula, śmiała się do oficerów albo konie gwardzistów parskały, albo w stepie kwitły drobno różowe tulipany, albo dziad Zwardecki o zmierzchu wstawał nagle od karcianego stolika, wytrząsał popiół z fajki, podchodził do okna, za którym w dali majaczyły zielone kopułki soboru na tle sinej wstęgi Azowskiego

Morza, chrząkał, milczał, stroszył wąsy, wreszcie schrypiętym głosem zaczynał śpiewać: „Jeszcze Polska nie zginęła”, a pan Heist, znakomity zegarmistrz warszawski, kompan na zesłaniu, wtórował bębnieniem palców po szybie i wzdychaniem, kiedy Maniuta Psarułaki, córeczka kupca greckiego, szumiała haftowanymi majteczkami po tarasie – Róża czuła się piękna i dumnie patrzyła na ludzi.

Kiedy natomiast długi, gęsty, niechlujny deszcz padał, kiedy żebrak w czeladnej babki Anastazji bił wszy na kudłatym kaftanie, kiedy pachniało nieświeżym masłem, kiedy ojciec mówił do matki: „Mierzawka!<sup>1</sup>, ja dobrze widział w klubie, jakie u was ze sztabskapitanem Borejkinem szli sztuki pod stołem. Nad stołem buzia i rączki, i karty, a pod stołem – pfuj, ta suczka z przeciwwka, i to u niej wstydu gdzie! Więcej” – wtedy Róża czuła się szkaradna, przepadała po kątach, rzucała na wszystkich pełne winy spojrzenia, za skarby świata nie zerknęłaby w lustro.

Dopiero w szesnastym roku życia był taki wieczór – już w Warszawie u Bądzkich. Już w epoce *tante* Louise, tej, „która nie ugięła się i przetrwała”...

Róża stała pod piecem w mieszkaniu pana dyrektora, znakomitego skrzypka, boskiego Januarego, który „roznosił po świecie sławę polskiego imienia”. Boski January był nieobecny. Jego głowa, ozdobiona parą wąsów ostrych jak szydła – kołysała się zapewne nad skrzypcami, czarując damy, gdzieś może na reunionie przy ulicy Wiejskiej albo w Reursie Obywatelskiej sterczała dumnie nad karcianym stolikiem. A może i na jakichś webowych, walansjeną rozszywa-

<sup>1</sup> *Mierzawka* – (ros.) paskuda.

nych poduszkach tarzała się ta artystyczna głowa w czułym tête-à-tête z kędzierzawą główką koryfejski baletu.

Pan dyrektor był nieobecny, a Róża stała pod piecem, czekając, kiedy panna Aniela Bądska ukończy gamy i ze złością łaskawie zaakompaniować jedynej uczennicy papy *Moment musical* Szuberta. Jedynej uczennicy – pierwszej „adeptce” skrzypiec Warszawskiego Konserwatorium na Tamce. Czarnej, chudej dziewczynie z rumieńcami latającymi jak płomień po śniadych policzkach, z lśniącem długim warkoczem, z kacapską wymową i z niemodnym medalionem na szyi.

Lampa ćmiła za mlecznym kloszem, czerwone pluszowe fotele jarzyły się po kątach, panna Aniela wybijała takt nogą: „raz i dwa, i raz, i dwa...”, dorożki turkotały po kocich łbach Ordynackiej, gdzieś w głębi gmachu woźni – sprząając – cisniali ławkami i chór Lutnia odwrzaskiwał: „Nie masz pana nad ułana”; jakieś nigdy dawniej niewąchanne zapachy, jakieś niepojęte sprawy, niemarzone nastroje ciągnęły szarówką od obcego miasta, od cudzych mieszkań i zamiarów. Od tej całej „niešťczęśliwej, bohaterskiej” Warszawy. Róża zamykała się w sobie i pragnęła, śniła, modliła się, żeby z daleka, z daleka podchwycić nozdrzami nierzeczywisty, już umarły zapach Taganrogu.

Wtedy to skrzypnęły drzwi, pod piecem stanął Michał Bądski, najmłodszy syn mistrza. Róża poweselała, już chciała roześmiać się głośno, dygnąć, trząchnąć warkoczami i dużo nagać swoim śpiewnym kacapskim akcentem, ale Michał położył palec na ustach. Przysunął się bliżej, zaczął niby dłońmi szukać po piecu najcieplejszego kafla i tak zagarnął, otulił, rozgrzał całą Różę. Później wśliznął się ramieniem pod ramię, policzek przybliżył do policzka i powiedział cicho:

– Nie trzeba. Niech ona sobie gra. A my – tak.

Uściskał lekko, patrzył. Róża poczuła się senna. Niebieskie, blade, w złotych rzęsach spojrzenie Michała spływało na nią jak rzeka – powolna, nieunikniona, groźna. Róża czuła, że wszystkie trzepoty i słowa, wszystko, co było dotąd dobrze wiadome – tutaj, teraz nie nada się do tego spojrzenia. Była bezradna, upokorzona, ale bała się drgnąć, żeby spojrzenia nie spłoszyć.

Po chwili Aniela przestała grać. Filuternym wzrokiem ogarnęła parę spod pieca.

– Boże, jakaż to śmieszna ta mała – rzekła.

Róży nie dotknął okrzyk, nie miała siły czuć nic innego poza ciepłem Michałowego ramienia. Natomiast Michał obruszył się, zamachał dłonią w kierunku fortepianu, potem nie odrywając wzroku od czarniawych policzków, obrócił Różę delikatnie pod światło lampy i wyszeptał modlitewnym tonem:

– *Sieh mal, sieh mal – diese, diese Nase...*<sup>1</sup>

Rodzeństwo Bądkich w chwilach wielkiej poufności mówiło do siebie po niemiecku. Dlatego że i polska, i francuska mowa były zbyt wytarte, zbyt zgrubiałe w użyciu, by wyrażać wyjątkowe, na wpół uświadomione uczucia. Aniela odpowiedziała:

– *Ja, ja, das hat sie schon – eine wunderschöne Nase*<sup>2</sup>. No co, Różyczko – dodała oficjalnym głosem – zagramy naszego Szuberta?

Tego wieczoru – wróciwszy od Bądkich do domu – Róża z wielką ostrożnością zamknęła drzwi na klucz przed ciotką

<sup>1</sup> *Sieh mal...* – (niem.) Popatrz, popatrz – ten nos.

<sup>2</sup> *Ja, ja...* – (niem.) Tak, tak, nos to ona ma prześliczny.

Ludwiką, zasiadła przed lustrem i nie wstała, aż świeca spłynęła w świeczniku. Odkryła swoją twarz.

Twarz odtąd stała się dla Róży na długo przedmiotem wytężonej uwagi, wielkiej troskliwości. Z niepokojem studiowała cerę, ściągała wargi i rozciągała w uśmiechu, mrużyła, to znów rozszerzała oczy, wkładając kapelusz przed lustrem. *Diese, diese Nase*, to było już przesądzone, tu nie było strapienia, skoro Michał chwalił, i to po niemiecku. Tym sroższe wątpliwości wybuchały na temat reszty fizjonomii. Czemuż Michał zupełnie pominął resztę? Czyż tylko *diese Nase*?

Róża lękliwie porównywała ze swoją powierzchownością urodę koleżanek, obrazy, charakterystyki książkowych heroin. To wszystko było tak nieuchwytnie, wieloznaczne: cudze rysy, wiersze, własna twarz... Róża męczyła się, miotana z fali na falę od pychy, od samouwielbienia do kompletnej rozpacz.

I tak: Roza Weneda Andriollego – czarnooka, bardzo do Róży podobna, tylko starsza (nos zupełnie taki sam) – uchodziła za piękność w Warszawie. Ale komuż się podobała? Słowackiemu, Andriollemu, ciotce Ludwice, panu Czarnockiemu z Kujaw i sztubakom z I gimnazjum. Ale Michałowi? Tego nie można było wiedzieć, czy Michałowi podobała się Roza Weneda. Kiedyś znowu Kostek Relejewski, rudy, dumny, chociaż oberwany, na lekcji harmonii przysłał karteczkę: *M-lle Rose belle comme une rose*<sup>1</sup>. Serce na chwilę zabiło i zaraz usnęło w błogości, nareszcie będzie można spocząć, oprzeć się na słowach Kostka, który aż na Wołyń jeździł koncertować, więc dużo kobiet widział, dużo wiedział. Otóż nie – nie

<sup>1</sup> *M-lle Rose belle...* – (franc.) Panna Róża piękna jak róża.

można było spocząć; bo Kostek to nie Michał, i Michał nie wiadomo, czy lubił róże, i Kostusia pan dyrektor zamknął na trzy dni w piwnicy o chlebie i wodzie. Czy taki mówi kiedy poważnie, i to z panną przybyłą z Taganrogu?

Niebawem do udręka z powodu twarzy przybyła nowa męczarnia, nowa tajemnica: ciało.

Michał nosił za Różą skrzypce do domu. Michał zawsze był w przedpokojach, ile razy Róża wkładała salopkę, wychodząc z lekcji od pana dyrektora. Michał podkreślił i zaopatrzył w dwa wykrzykniki tytuł pieśni Griega: *Je t'aime, hélas*<sup>1</sup>, i te nuty sam położył na pulpicie przed Różą.

W pogodne wieczory ktoś chodził naprzeciwko okna po chodniku ulicy Mazowieckiej. Ktoś taki chodził – wysoki, szczupły, szalenie wzruszający, z głową zadartą w stronę okna. Śpiewał, ręką dawał znaki... Róża bała się wiedzieć, kto to jest, nie stawała w samym oknie, tylko opodal za firanką, a na oknie stawiała świece. Stała nieraz długo, firanki drżały, płomień świecy kładł się pod westchnieniami, po ścianie błędził cień, oczy uciekały w ciemność uliczną i tropiły, tropiły wysokiego przechodnia. *Tante* wołała z drugiego pokoju:

– Co tam robisz, moje dziecko? Czemu nie egzericytujesz się?

Róża odpowiadała natychmiast:

– Nie mogę dzisiaj, proszę cioci, maestro zabronił, mówił, że kiść sforsowana.

Aż wreszcie kiedyś – to już była wiosna i perskie bzy, takie same jak w Taganrogu, kwitły w botanicznym ogrodzie – Michał wieczorem zastąpił Różę drogę. Powiedział:

<sup>1</sup> *Je t'aime...* – (franc.) Kocham cię, niestety.

– Różyczko, skarbie mojej duszy, aniele prześliczny, moje dobre dziecko... Popatrz, noc jaka piękna! Ptaszyno, ja wynajęłam karetę. Nie bój się mnie, nie drzyj. To nic złego, przysięgam na matkę. Ale gdzieś pójdziemy? Powiesz cioci, że papo zatrzymał cię na wieczór i kazał grać z Anielcią. Przecież popis niedługo.

Zgodziła się. Pojechali.

Tak gdzieś przed siebie, ogrody pachniały, widać – za miasto. Między sobą a Michałem Róża postawiła skrzypce. Trzymali się za ręce, nic nie mówili. Michał głaskał dłoni. Później szeptał i przyciągał do siebie. Ale Róża siedziała sztywno. Nagle wyraźnie powiedział:

– Jaki piękny masz medalion – uchwycił medalion z lokiem zmarłego braciszka, jego ręka wydała się nad wyraz ciężka, gorąca, gdy spoczęła na piersi. Róża kazała zaraz wracać, płakała żałośnie, nie strącała jednak upartej, rozgorzałej ręki. Michał całował po piersiach, po ramionach, żeby przestała płakać. Wrócili szybko i nic już okropniejszego niż ta ręka nie stało się tego wieczora. Stało się jednak drugie straszne odkrycie: ciało. Ożyły piersi, biodra, kolana – wszystko, czego dotykały poprzez suknię dłonie Michała.

Później, w dobrych kilka lat po wielkim bólu rozstania, kiedy Michał siedział już w Wierchnieudinsku jako inżynier powiatowy, mąż moskiewskiej kursistki, uwiedzionej przez siebie, sobie na wstyd, Róży na wieczyste konanie, kiedy już tam siedział, zgnębiony, przeklęty – Róża uwierzyła Kostkowi Relejewskiemu, Słowackiemu, panu Stanisławowi, Albinowi, tyłu, tyłu innym. Uwierzyła w swoją twarz, w swoje ciało i ofiarowała siebie z łaski synowi burmistrza Nowego Miasta, mrukliwemu Adamowi.

Zrobiła się zarozumiała, nieprzystępna. „Zimna piękność” – mówiono. Matka, biedna, lekkomyślna Sophie (oboje z ojcem przywlekli się po dwóch latach za córką, Luiza obiecała złote góry, ojciec wyżebrał translokację, sprzedał dom, konie – skończyło się na nędznym bycie w drogiej, nieprzychylniej dla rosyjskich oficerów stolicy) – Sophie błagała:

– Cóрко najdroższa, nie gub ty nas, patrz, papoczka już osiwiiał od tych p a t r i o t y z m ó w, co ta wariatka z nami wyprawia. Kiedy tam? Co tam ze skrzyпки tej wyjdzie? Pluń i wychodź za mąż, krasawica ty moja...

Róża postanowiła się zemścić. Na Polsce, gdzie ją nie-szczęście spotkało, i na mężczyznach. Uroda błyszcziała na niej wtedy jak książęcy strój, wszyscy na ulicy odwracali głowy. Nie chciała ładnych paniczek ani potężnych starców – takiego właśnie chciała: cichego, nic nieznaczącego Adama, żeby na niego zwalić swoją piękność jak miazdzący gład. Żeby nic jej nie mógł ofiarować w zamian za dar okrutny – ani rozkoszy, ani bogactwa – żeby za nic nie musiała być wdzięczna. Chciała takiego właśnie bezwolnego petersburskiego studenta z Darwinem pod pachą, z obrazkiem Częstochowskiej w kieszeni, z kacapską brodą i romantycznym, nadwiślańskim sercem.

Świeżo upieczony kandydat nauk matematycznych przyjechał po dyplomie do kraju, rodzina nowenny odprawiała, siostry na mszę dawały, żeby został czymś mniejszym – chociażby posadką na poczcie się ukontentował – a do prawosławnej Rosji nie wracał. Siostry upatrzyły Różę. Coś trzeba było dać bratu jako okup za górne ambicje. Niech ma żonę niezwykłą, niech ożeni się z piękną skrzypaczką. Czymże wobec tego będą posażne kłępy kuzynów? Róża umiętynie



błyskała źrenicami, spuszczała długie rzęsy, obciskała biodra w kaszmirowe *princesse'y* i oddała Adamowi mściwą rękę.

Ślub wzięli u Panny Marii w Lesznie. Róża w białych tiulach pozwalała mieszczkom, drobnym, łzawym szlachciankom i zatabaczonym wujom całować swoje bursztynowe azowskie policzki. Pochylała głowę i uśmiechała się tkliwie, gdy mówiono, śliniąc się z uniesienia:

– Witaj nam w skromnej, lecz – Bóg świadkiem – poczciwej rodzinie, panno zacna, nadobna córo męczenników za polską świętą sprawę. W rękach twoich los Adama. Przywiążże małżonka do tej naszej nieszczęśliwej ziemi. Tu pracujcie, tu dziatki chowajcie.

Siostry wraz z ojczulkiem burmistrzem odjechały – szczęśliwe – do Nowego Miasta, a w miesiąc później Róża wiozła Adama do Saratowa, gdzie w gimnazjum „realnym” utworzył się wakans dla młodego matematyka.

O, jakże wysoko nosiła po Saratowie *diese, diese – o ja – wunderschöne Nase!* Ubierała się czarno. Na to jedno jeszcze pozwalała Michałowi: na swoją żałobę po nim. Chodziła wystrojona w długą rotundę ze stuartowskim kołnierzem i w maleńki, na czoło zsunięty kapelusik, który zdobiło krucze skrzydło. Suknie nosiła opięte, z koronkowymi żabotami, czesała się gładziutko, z rozdziałem pośrodku głowy, tylko kilka puszystych loków nad karkiem. Ręce bez pierścieni, nerwowe i ciężkie. Kiedy podawała dłoń, czuło się w uścisku martwy, jednak palący przedmiot.

Dwoje dzieci przyszło na świat, spółdzonych najciemniejszą nocą. W ciągu dnia Adam nie miał do żony przystępu, krzątała się po domu – stosownie do pory ubrana – obca, żadnej poufałości nierozumiejąca. Kokietowała każdym ruchem,

każdym zimnym słowem. Pobudzała do szału zazdrości, bo tak samo ozdobnie i drażniąco poruszała się wobec wszystkich mężczyzn.

W nocy leżała nieruchoma. Czyż miała ułatwić Adamowi posiadanie? Czyż nie dość było gładkie i różowe jej ciało, by sam jego widok stanowił zdobycz bez ceny?

Raz Adam – w dwie godziny po wyjściu do gimnazjum – wrócił zniemacka do domu. W salonie przy pianinie siedział znany w mieście meloman, prezes sądu okręgowego, *gospodin* Krylenko, Małorus szafirowooki. Róża stała opodal. Ręka ze smyczkiem w dłoni spływała bezwładnie między fałdami czarnej sukni – bezwstydnie blisko od apoplektycznego torsu Krylenki. Róża cała jaśniała swoim niedobrym pięknem. Ach, to wtedy Adam popełnił szaleństwo, podniósł w górę laskę, zachrypiał: – *Won, won, poszoł won* – i ramieniem, skaczącym konwulsyjnie, wskazywał drzwi prezesowi sądu. I to wtedy także Róża po raz pierwszy w małżeństwie pozwoliła w pełnym świetle zobaczyć swoją twarz, skurczoną od namiętnych uczuć.

– Głupi, głupi! – krzyczała. – Po tysiąc kroć głupi! Czego się boisz, czego się wściekasz? Nikogo nie pokocham nigdy – wszystko, świat cały za mną zatrzaśnięty na wieki!!! Nędzna ja, nieszczęśnica, w złą chwilę urodzona.

Szły długie lata dobrego zdrowia, kwitnącego wyglądu, szumiących kanausowych halek, częstych, łatwych triumfów Róży nad męskimi żądzami. Polubiła tę grę – cierpienia mężczyzn podtrzymywały ją jak alkohol.

Urodą operowała mistrzowsko. Ponieważ w erotycznych okolicznościach nie bywała wzruszona, nie zbrakło jej nigdy

okazji, by zaobserwować w lustrze, który uśmiech, wyraz, jaka poza są najbardziej korzystne. Zauważyła, że przy uśmiechu niezbyt szerokim mięśnie twarzy układają się niesforne, kryjąc oczy, co nie jest okupione błyskiem zębów. Zatem ilekroć wypadało mdło się roześmiać, opuszczała głowę i dłonią przesłaniała twarz – wtedy nie kompromitowała oczu i nadawała śmiechowi pozory ładnej melancholii. Taka była mądra.

Pielęgnowała się troskliwie. Na noc wcierała w policzki maść ogórkową, ręce namaszczała coldcreamem, sypiała w rękawiczkach, nie nosiła raniących bryklami gorsetów, ciało utrzymywała w pedantycznej schludności. Wiele w tym znajdowała pociechy, że tak prostymi środkami można było osiągnąć zemstę nad rodem męskim, nad Polską, nad Rosją i nad własnym życiem. Nie myślała tak – zdawała sobie sprawę z proporcji ludzkich spraw. Z tego, że jeden człowiek nie może przesłonić sobą świata, ani świata czy narodu reprezentować; a także że zemsta niczego nie uleczy, że jest zadaniem śmiesznym, bo winowajca zawsze pozostaje nieznanym, mściciel zaś ostrze kary sam przeciw sobie obraca. Róża to wiedziała – nieżyczliwe podboje, złośliwe romanse nie dawały jej nadziei na poprawę losu. Róża wiedziała, ale c z u ł a inaczej. Dla niej – wbrew wszelkiemu sensowi – jeden człowiek przesłonił świat, jeden człowiek reprezentował naród i jedna tylko niedorzeczna zemsta była uczuciem, którym oddychało serce. Taka Róża była głupia.

Ilekroć Adam chudł z namiętności i wodził wzrokiem za jej biodrami, radowała się: dobrze mu tak, kozłowi przekłębtemu, na pewno zrobił tak niejednej pannie jak Michał mnie.

Ile razy Adam – otrzymawszy list z Nowego Miasta – wychodził do kolacji osowiały, zrzucał ze stołu rosyjskie gazety

i krzyczał na synka: „Jak ty mówisz? Jaka tobie *mamoczka?* «Mamusiu» masz mówić!” – radowała się: dobrze ci, Polaczku; Polaczkowie, skorzy jesteście ludzi na durniów wystawiać, zdradą człowieka żywcem do grobu kłaść; więc sam pocierp teraz i Polska twoja niech przepadnie, zdradliwa.

Ile razy udało się Róży osiągnąć rozpacz czy upokorzenie Rosjanina, że *gospodin pałkownik* czy *statskij sowietnik*<sup>1</sup>, czy chociażby niefortunny, z miłości ogłupiały *praporszczyk*<sup>2</sup> – jąkał się, bladł, jak zbawienia duszy wyglądał dobrego słowa – odrzęcała z radością: poszedł won, Mochu. Pocierp za tę twoją siostrzyczkę kursistkę, kotkę bezwstydną, moskiewkę, co podłymi sposobami zgubiła Michała.

Ile razy, powróciwszy z miasta, zamykała się w swoim pokoju, padała na kolana, tuliła głowę do krawędzi łóżka, biła pięścią o podłogę, dusiła się w łkaniu i synek Kazio stukał drobną rączką do drzwi, a ona wciskała szal do ust, żeby nie krzyzczeć głośno, kiedy potem stawiała na nogi, drętwa, zimna, z nieprzytomnym spojrzeniem – radowała się wtenczas zjadliwie: dobrze ci, „Różyczka”, dobrze, na cóż było zaprzedać się duszą i ciałem temu blademu frantowi? Teraz cierp, cierp i zęby zaciskaj...

Kiedy dzieci podrosły, Róża nie tak już okrutnie przesładowała ludzi swoją urodą, zawsze jednak pilnie o nią dbała.

Z biegiem lat coraz skrzętniej zwracała na to uwagę, jak ludzie na nią patrzą, jakim tonem, w jakich słowach wyrażają komplementy.

<sup>1</sup> *Statskij sowietnik* – (ros.) radca.

<sup>2</sup> *Praporszczyk* – (ros.) chorąży.

Jeżeli spostrzegła, że jakiś szczegół powierzchowności zestarzał czy zeszeptniał – w pierwszej chwili przerażała się niemal do omdlenia. Żółta plama na szyi czy obeschnięcie naskórka na brodzie wydawały się złowrogim sygnałem, patrzyła w lustro rozszerzonymi ze strachu źrenicami. Ale nie śmierci się bała – bała się metamorfozy. Że kiedy to przyjdzie wreszcie, a właściwie kiedy to wróci, Róży już nie będzie wolno t e g o przyjąć. Że to stanie przed nią i wcale jej nie pozna, bo Róża będzie zmieniona.

Nieustannie – wbrew wszystkiemu – czekanie na powrót t e g o było czymś tak naturalnym i niedostrzegalnym jak krwiobieg. Róża nawet nie rozumiała, o co jej chodzi, gdy patrzyła ze śmiertelnym lękiem na zmarszczkę czy na inny ślad przemijania. Nie rozumiała także, czemu w łęku i w rozpaczach godził ją z życiem, zachęcał do wytrwania widok owego *wunderschöne Nase*, klasycznego w istocie nosa, który nie ulegał wpływowi czasu. Sama nie wiedziała czemu, gdy – ostatecznie przygnębiona – rezygnowała z gładkości skroni, z żywości cery, przestawała troszczyć się o blask oczu – nieposzlakowana linia nosa, cały *diese, diese Nase* pozostawał przedmiotem uwagi, pychy i nadziei. Aż wreszcie dwa miesiące temu w Królewcu...

Miesiąc temu córka Marta powiedziała: „Wyglądasz jak sen o zimie, jak Petronela w najlepszej formie”. I Róża przerażała się do szpiku kości. Czyżby? Czyżby ją w Królewcu oszukano? Wydrwiono? Na progu śmierci niemal objawione życie czyżby miało okazać się zmorą? Córka z podziwem patrzyła na nią w sklepie, nie powiedziała jednak żadnej z tych rzeczy, które się mówi żywej, prawdziwej kobiecie.

„Zdrada, znowu zdrada...” – zakołysało się, zakotłowało, zaszumiało w Róży od przeczuć, od objawień, od bolesnych świateł. Więc może nie zrozumiała w Królewcu? Więc t a m t o znaczyło co innego! To ona sama – oszalała z czekania i z krzywdy – napełniła krwią obojętne słowa, rozpałała w sobie te wspianiałe ognie! A jednak nie mogła chyba pomylić się tak wariacko? Gdyby oczy Gerhardta, dłonie Gerhardta były oczami i dłońmi upiora, jakaż byłaby przyczyna, jaki sens okrutny przebudzenia Róży?

Zlekceważyła córkę. Kupiła czerwony zakiet i za jasne palto. To ziściło się – odrzuciła czerní. Nie dostojeństwo, jak chciała Marta: czerní w stroju Róży oznaczała czekanie.